



Stefan Żeromski - Przedwiośnie, część 8.

U Gajowca wybucha spór.

Ledwie się przywitał, rzekł z diabelską uciechą:

- Wracam z zebrania komunistów.
- Powinszować znajomości!
- A gdzie mam chodzić?
- Jak to - gdzie masz chodzić? Masz się uczyć medycyny.
- Ja teraz od komunistów pobieram lekcje wiedzy o Polsce.
- Uczył Piotr Marcina.
- Nie! - zawołał Cezary. - Nie! Gdyby nie oni, byłbym ciemny jak tabaka w rogu. Pan także nie wiesz całej prawdy.
- Od was się jej dowiem!
- Tak! Moja matka umarła nie z biedy i nie z bicia, i nie z samych chorób, lecz z tęsknoty za Polską. Mój ojciec... Mój ojciec i moja matka! A wy, wielkorządcy, coście zrobili z tego utęsknienia umierających? Katownię! Biją! Biją na śmierć w więzieniach! Katują! Policjant uzbrojony w narzędzie tortur - to jedyna ostoja Polski!
- Błuźnisz, młodzieńcze!
- Nie bluźnię. Mówię prawdę. Jeślibym zaczął "bluźnić", to już do pana nie wrócę. Jeszcze raz wróciłem.
- Jeszcze raz?
- Jeszcze raz! Pytam się, czemu nie dajecie ziemi ludziom bez ziemi?

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- Nie mamy pieniędzy na wykup.

- Wykup! Nie stać was na złamanie magnaterii, która już raz pchnęła Polskę w niewolę. Nie ma w was duszy Ludwika XI, żeby złamać szlachecką przemoc i przemienić ten kraj w gminę ludzi pracowitych. Czemu gnębicie w imię Polski nie-Polaków? Czemu tu tyle nędzy? Czemu każdy załamek muru utkany jest żebrakami? Czemu tu dzieci zmiatają z ulic mokry pył węglowy, żeby się wśród tej okrutnej zimy troszeczkę ogrzać?

- Czeka! Zaraz! Za dużo na raz pytań! Po kolei!

- Na wszystko pan znajdzie wytłumaczenie! Wiem! Ale ja nie chcę, nie chcę pańskich tłumaczeń. Ja chcę zaprzeczeń w czynie!

- Dajemy co dzień, z wolna, w trudzie, mało - ale dajemy.

- Ja teraz stawiam pytania! I pytam się: na co wy czekacie? Dał wam los w ręce ojczyznę wolną, państwo wolne, królestwo Jagiellonów! Dał wam ludy obce, ubogie, proste, ażebyście je na sercu tej Mocarki, tej Pani, tej Matki ogrzali i do serca jej przytulili. Stolicę wolności dał wam w tym mieście! Czekacie! Czekacie! Czekacie, aż wam jarzmo znowu nałożą.

- Nie nałożą! Zginiemy, zanim jarzmo nam nałożą! Niedoczekanie ich, żebyśmy na to patrzyli!

- Nie wierzę! Wypracujecie przyczyny swojej nowej niewoli. Podacie przyczyny wszystkiego i uwidocznicie skutki. Ginać będzie za was, mądraków, jak zawsze - młodzież. Ja przecie wiem, co mówię, bom również za piecem nie siedział, gdy młodzi szli ginać. To wy pobijecie znowu tę młodzież - swoją mądrością, bo jedyną waszą mądrością jest policjant, no - i żołnierz.

- Tak, żołnierz! A ty co jeszcze masz na obronę?

- Ja mam jeszcze na obronę - reformy! Reformy, które by przewyższyły bolszewickie i niemieckie, które by ludy ukraińskie odwróciły twarzą ku Polsce, a nie ku Rosji. Ale wy jesteście mali ludzie - i tchórze!

- To jest tylko zniewaga. W tym nie ma ani krzty prawdy.

- Boicie się wielkiego czynu, wielkiej reformy agrarnej, nieznanej przemiany starego więzienia. Musicie iść w ogonie "Europy". Nigdzie tego nie było, więc jakżeby mogło być u nas? Macież wy odwagę Lenina, żeby wszcząć dzieło nieznane, zburzyć stare i wszcząć nowe? Umiecie tylko wymyślać, szkalować, plotkować. Macież wy w sobie zawzięte męstwo tamtych ludzi - virtus niezłomną, która może być omylną jako rachuba, lecz jest niewątpliwie wielką próbą naprawy ludzkości? Nikt nie myśli o tym, żebyście się stać mieli wyznawcami, naśladowcami, wykonawcami tamtych pomysłów, żebyście byli bolszewikami, lecz czy posiadacie ich męstwo?

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- "Pewnym męstwem ja się nigdy nie pochlubię, ja przed bliźnich drzę męczeństwem, w otchłań spychać ja nie lubię"...

- To są stare, magnackie, romantyczne teksty, którymi się w potrzebie zamazuje stawiane dzisiejsze zarzuty. Pan, jakoby, wyzbył się już romantyzmu, a jednak, gdy chodzi o odparcie zarzutu, używa pan tekstu romantycznego, zupełnie jak kapłan naginający wersety Pisma do potrzeby obronienia danej tezy. Autor tego tekstu "spychał w otchłań" i nie "drżał przed męczeństwem bliźnich" - tylko co dzień, niewidocznie, niedostrzegalnie, naturalnie, zagryzał na śmierć swych pańszczyźnianych niewolników, ale drżał przed "męczeństwem bliźnich", to znaczy szlachty. Nie o męczeństwo chodzi, lecz o męstwo, o męstwo postawienia nowej idei. Jaką wy macie ideę Polski w tym świecie nowoczesnym, tak nadzwyczajnie nowym? Jaką?

- Prosiłem cię, żebyś ze mną pracował. Te stopy papierów zawierają nową ideę Polski.

- To są stopy papierów i nic więcej. Lud zgłodniały po wsiach, lud spracowany po fabrykach, lud bezdomny po przedmieściach. Jak zamierzacie ulepszyć życie Żydów stłoczonych w gettach? Nic nie wiecie. Nie macie żadnej idei.

Pewnego dnia, w pierwszej połowie marca, w przedsionku prosektorium Cezary Baryka otrzymał list, przyniesiony przez posłańca miejskiego. Na kopercie był najwyraźniejszy adres, jego imię i nazwisko, wypisane z całą dokładnością, więc nie mogło być podejrzenia co do pomyłki. W liście był arkusz papieru z następującymi słowami:

"Jestem w Warszawie na krótko. Jeżeli panu na chęci nie zbywa, proszę zobaczyć się ze mną. Będę dziś w Ogrodzie Saskim obok fontanny o godzinie drugiej po południu. - Laura".

- Myślałem o tobie dniami i nocami. Wszędzie, zawsze! W prosektorium, w ciągu pracy, przy pisaniu cyfr u pewnego urzędnika, na ulicy, w domu, przy muzyce, w knajpie, w teatrze, przy stole, w rozmowach w dysputach, w awanturach, wszędzie, gdzie tylko byłem. Stałaś przy mnie. Czułem cię tuż, tuż za ramionami, czułem twój zapach, czułem cię w sobie, w mej krwi, w moich piersiach, w żyłach. Całowałem cię w nocy - pewnie wtedy, gdy cię tamten całował - wyciągałem do ciebie ręce przez całą tę ziemię - pewnie wtedy, gdy on cię obejmował! Ty jesteś tak prosta - prześliczna, ty jesteś tak strojna, tak zgrabna, tak pachnąca, wykwintna, wyszukana - wybrana, miła! Jesteś okrążona przez jakieś wymyślne, nie istniejące, wyrafinowane kolory! Ty jesteś Laura! Laura! Laura!

Szli boczną aleją. Drzewa огоłocone stały nieruchomo, jakby nasłuchiwały tych wyznań. Drzewa były jakby rozdęte od wilgoci, od odwilży, od rozkisających waporów, które się już po długich deszczach burzyły w ziemi. Pani Laura Barwicka gorzko płakała.

- Nie było cię przez tyle miesięcy! Myślałem już nieraz, że cię wcale a wcale nie było. Myślałem nieraz, że byłaś tylko piękną poezją, którą czytałem w szczęśliwej chwili mego dzieciństwa. Myślałem nieraz, że byłaś zawiątaną opowieścią, snem moim o krasawicy, o najcudniejszej kobiecie ludzkiej rasy. Nieraz z tęsknoty prosiłem cię, żebyś

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

przyszła do mnie przez sen. A teraz przyszłaś sama. Przyszedłaś jeszcze bardziej zachwycająca niż w Leńcu. Jeszcze bardziej gładka, powabna, nadobna! Jesteś teraz tak wysmukła, tak puszysta. Ale jesteś tak blada, tak smutna. Cemu jesteś smutna?

Nic nie odpowiedziała. Łza łzę pobijając, płynęły po jej twarzy przeobfite strugi. Ponieważ podniosła woalkę, widać było jej policzki o przezroczystej, białej cerze zimowej. Nie mogła podnieść oczu, bo zavalone były falami łez. Nie mogła mówić, bo pełne miała usta słonej goryczy. Stała wreszcie.

- Widzisz, coś ty narobił! - rzuciła z głębi piersi.

- A co?

- Ach, ty! - wybuchła. - Gdybyś był wtedy nie skroił tej awantury, byłabym może wybrnęła z matni.

- Tej awantury... - powtórzył jak echo.

- Byłabym się może od niego wykaraskała! Byłabym może znalazła środki, żeby interesy moje rozplątać, rozwikłać. Byłabym się zapracowała na śmierć, a wreszcie bym wylazła. Tyś to narobił, że musiałam wziąć ślub bez zwłoki, natychmiast! Musiałam albo się uratować w opinii, albo zginąć. Ty wariacie, napastniku, moskiewski wychowanku! Mogłam być twoją, a teraz muszę być z Barwickim, muszę być jego żoną!

Zaniósł się niemym, zduszonym, spazmatycznym płaczem, oszalałym łkaniem. Na chwilę pokonała się, zastanowiła się. Słowa przemocą wyszarpane z piersi ledwo-ledwo wydała:

- Muszę teraz... Muszę... Tak oto... Umierać z żalu... Za tobą...

Cezary zachwiał się od wrażenia, że to teraz on dostał szpicrutą straszliwe poprzez oczy cięcie. Wszelkie słowa wypadły mu z gardła. Sam głos zamarł. Ani jednego słowa odpowiedzi. Stał głupi i niemy. Błagać ją o co? Przepraszać ją za co? Przyobiecować jej co? Usprawiedliwiać się z czego? Ani jednej myśli, ani jednego powzięcia, ani jednego postanowienia. Wyjęknął cicho:

- Chodźmy stąd...

- Dokąd?

Alboż wiedział, dokąd? Któż to była ta kobieta? Teraz dopiero dowiedział się o niej. Gdyby mógł rzucić się przed nią na kolana, gdyby mógł przycisnąć do ust brzeg jej sukni, gdyby mógł ucałować jej stopy!

Ludzie w tym miejscu rozmaici przechodzili i podnosili oczy na tę damę tak piękną; a tak gorzko płaczącą. Trzeba było koniecznie z tego miejsca odejść. Znowu tedy powiedział:

- Chodźmy stąd!

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

- A dokądże pójdziemy?

Podniosła na niego oczy. Błady uśmiech, zbłąkany gość, przewinął się przez jej usta, wykrojone tak precyzyjnie.

- Nie, Czarus - rzekła - już z tobą nigdzie nie pójdę.

- Nigdy?

- Nigdy.

- To po cóżeś mię tu wezwała?

- Wezwałam cię tutaj - jęknęła z najbardziej przepaścistego dna boleści - żeby na ciebie popatrzeć, na miłość mojego serca jedyną, jedyną! Na szczęście moje zabite, zabite! A tyś myślał, że ja cię na schadzke?... Że do hotelu? Przystojna mężatka... do hotelu...

- Nic nie myślałem.

- Więc mówisz, żeś schudła? Widzisz - to przez ciebie! A ty?

Oczy jej obeschły i patrzyły teraz, spłakane i zaczerwienione, z nieopisaną miłością, z niezgłębioną słodyczą. Oglądała usta, oczy, brodę i policzki Cezarego, jakby je oczyma materialnie całowała. Po stokroć wznosiła na niego oczy i po stokroć powracała.

- Więc to tak - westchnął - teraz jesteś ślubną żoną Barwickiego.

- Tak.

- I ślub ten staje na przeszkodzie naszemu szczęściu?

Zawahała się, zakołysała na miejscu, nie mogąc iść dalej. Wreszcie rzekła:

- Ślub nie ślub... Cóż mi tam Barwicki! Ale słowo. Dane słowo honoru.

- Słowo honoru...

- Tak, Czarus. Ja byłam wolna i ty byłeś wolny. Byliśmy dwa wolne ptaki. Szaleliśmy ze szczęścia pod naszym niebem. Aleś to wszystko nogami podeptał!

- Kłamiesz! To ty teraz wszystko depczesz nogami! Nasze szczęście!

- Nie gniewaj się na mnie! W tej chwili nie gniewaj się na mnie! Tą chwilą będę żyła... długie miesiące, długie miesiące... Nie odbieraj mi tej chwili!

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Chciała niepostrzeżenie pochwycić jego rękę, ale ją wyrwał. Znowu poniosła go jędrza zazdrości, najstraszliwszy z demonów. Roześmiał się dziko:

- Słowo honoru! Słowo honoru!

Ukłonił się z daleka.

- Czarus! Nie chodź! Czarus! - wzywała z rozpaczą, w szalonej męczarni.

Ale już się nie odwrócił. Zakłęsała się w nim dzikość uczucia, jakby serce rozjuszonego jastrzębia zbudziło się w jego piersi, jakby szpony zemściwego jastrzębia u rąk mu wyrosły. Szedł rozbryzgując nogami błoto, pogwizdując z przejęciem, wśród drzew głuchych.

Był pierwszy dzień przedwiośnia. Powiał wiatr południowy i w płynne błoto zamienił stopy śniegu uzgarniane wzdłuż chodników. We włosy i w usteczka, w nozdrza, w policzki i w uszy dzieci spieszących do szkółek wiał ów wiatr suchy, odmienny. Tysiące wróble ćwierkały radośnie, do upadłego, hardo i nieustępliwie na gziemsach odrapanych murów, na załamaniach rynien i na czarnych gałęziach kasztana, więźnia w podwórzu żydowskiej kamienicy. Bładozielone Żydki wyściubiły niebieskawe nosy z piwnic i że tak powiem, z mieszkań na Franciszkańskiej ulicy. W czystych alejach przechodnie szli wesoło, tupiąc suchymi butami po betonie chodnika, który w oczach obsychał. Już się na rogu ulicy uwijała młoda ulicznica w przedwcześnie wiosennym stroju, ażeby przecie więcej nagości na wabia łobuzom pokazać. Obłok wiosenny nad miastem przepływał jak anioł boży, zarówno miłujący cnotliwe i grzeszne. Dzwon się na wieży dalekiej rozlegał, jak gdyby na zlecenie anioła lecącego przez niebiosy wołał ku wszystkim nędzarzom, znękanym i zżartym przez choroby: "Wiosna, o ziemscy nędzarze!"

Tego dnia właśnie od Nowego Świata, przez plac Trzech Krzyżów ciągnęła wielka manifestacja robotnicza w stronę Belwederu. Bezrobotni wskutek fabrykanckiego lokautu, strajkujący wskutek drożyzny i niemożności wyżycia z płacy zarobkowej tak nędznej, jaka była ich udziałem - i uświadomieni komunisci. Ci trzymali prym, młoda gwardia, a raczej awangarda Sowiećów.

Ludzie ci ściągnęli z niskiego Powiśla i z dalekiej Woli. Przemknęli się pojedynczo wszystkimi ulicami, a tutaj dopiero, u wylotu Alei Ujazdowskich, spiknęli się i z radością natrafili na swoich. Właściwy powód tego pochodu był następujący. W jednej z fabryk robotnicy zażądali podwyżki zarobku o 50 procent. Skoro dyrekcja kategorycznie odmówiła, grzecznie ujęli dyrektora pod paszki i wyprowadzili na podwórze, a z podwórza za bramę. Tam zaś poprosili go kolanem, żeby poszedł do swego mieszkania, a tutaj się nie plątał, gdzie go nie potra. Sami zaś zajęli pozycje przy maszynach, każdy specjalista przy swojej specjalności. Fabrykę ogłosili jako zajęętą w posiadanie rady robotniczej. Właściciel fabryki ze swej strony ogłosił, że fabrykę zamyka na czas nieograniczony, a wszystkich robotników wydała. Wtedy robotnicy oświadczyli, że nie pozwolą zamknąć tej fabryki, sami będą pracować i nikomu jej nie dadzą. Wtedy policja otoczyła fabrykę i zażądała od zespołu robotników, żeby wyszedł dobrowolnie, jeśli nie chce narazić się na przymusowe wydalenie.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Właśnie wtedy kierownictwo partii zażądało od ogółu robotników poparcia. Manifestacja wyszła nagle z placu i ruszyła pod Belweder. W pierwszym szeregu znacznego tłumu szli ująwszy się pod ręce ideowi przedstawiciele, między innymi Lulek i Baryka. Baryka w samym środku, ubrany w lejbik żołnierski i czapkę żołnierską. Śpiewali.

Właśnie konna policja pokazała się w jednej z ulic poprzecznych. Oficer na pięknym koniu, w płaszczu gumowym spiętym na piersiach, w skokach konia i lansadach przejeżdżał obok tłumu szarego i rudego, który się ściskał i zbijał w jedno ciało. Oficer przypatrywał się pilnie ideowcom. Specjalnie pilnie temu w czapce żołnierskiej. Gdy tłum zbliżył się pod sam już pałacyk belwederski, z wartowni żołnierskiej wysunął się oddział piechoty i stanął w poprzek ulicy, jakby tam nagle ściana szara, parkan niezłomny, mur niezdobyty wyrósł.

Baryka wyszedł z szeregów robotników i parł oddzielnie, wprost na ten szary mur żołnierzy - na czele zbiedzonego tłumu.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl